

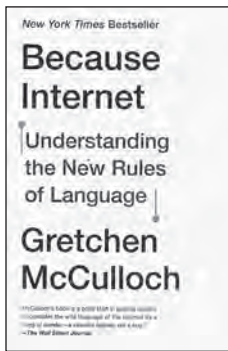
- Gębołyś, Zdzisław; Wodniak, Katarzyna, red. (2021). *Wokół „Katechizmu biblioteki” Paula Ladewiga 2*. Bydgoszcz: Wydaw. Uniwersytetu Kazimierza Wielkiego, ISBN 978-83-8018-356-8.
- Kurek-Kokocińska, Stanisława; Tokarska, Anna, red. (2021). *W poszukiwaniu wzorów i wzorców osobowych wykonawców zawodów bibliotekarskich i informacyjnych*. Łódź: Wydaw. Uniwersytetu Łódzkiego, 246 s., il. ISBN 978-83-8220-157-4.
- Nastalska-Wiśnicka, Joanna (2020). *Biblioteka Uniwersytecka Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego Jana Pawła II. Kronika stulecia 1918 – 2018*. Lublin: Wydaw. KUL, 542 s., il. ISBN 978-83-8061-816-9.
- Palian-Kobiela, Ewelina (2020). *Biblioteka i ludzie. Motyw książki w wybranych przekładach powieści obcej po roku 1989*. Warszawa: Wydaw. Naukowe i Edukacyjne Stowarzyszenia Bibliotekarzy Polskich, 257 s. Literatura dla Dzieci i Młodzieży; t. 15. ISBN 978-83-65741-58-5.
- Pokorzyńska, Elżbieta (2021). *Z księgą w herbie. Słownik biograficzny introligatorów warszawskich okresu zaborów*. Bydgoszcz: Wydaw. Uniwersytetu Kazimierza Wielkiego, 413 s, il. ISBN 978-83-8018-355-1.
- Spandowski, Michał, oprac.; Szyller, Sławomir, współpr. (2020a). *Catalogue of incunabula in the National Library of Poland*. Vol. 1. Warsaw: National Library of Poland, 694 s. ISBN 978-83-7009-834-6.
- Spandowski, Michał, oprac.; Szyller, Sławomir, współpr. (2020b). *Catalogue of incunabula in the National Library of Poland*. Vol. 2. Warsaw: National Library of Poland, 382 s. ISBN 978-83-7009-835-3.

Barbara Koryś

Tekst wpłynął do Redakcji 16 listopada 2021 r.

Z LEKTUR ZAGRANICZNYCH

Nawet w tych tekstach, gdzie bezdyskusyjnie powinna dominować problematyka ściśle biblioteczna, w żaden sposób nie można już odkleić się od internetu. Co czasami byłoby z pożytkiem, a niekiedy nie. Ponieważ te ujęcia bywają różne. Nieraz wręcz diametralnie sprzeczne i w gąszczu tych przeciwności trzeba określić swoje miejsce. Łatwe to nie jest.



INTERNET: ENTUZJAZM [****]

Gretchen McCulloch: *Because Internet. Understanding the New Rules of Language*. New York: Riberhead Books, 2019, 326 s. ISBN978-0735210943.

Autorce, amerykańskiej – albo kanadyjskiej, bo mieszka w Montrealu – internetowej lingwistce przyznano laur za najlepszą książkę w tamtych okolicach w 2019 r. Tekst jest rzeczywiście kreatywny, narracja toczy się z bigłem, jednak od oceny aż tak wysokiej powstrzymałbym siebie oraz innych. Głównie ze względu na całkowicie bezkrytyczną postawę. Bo jednak nawet zachwyty oraz entuzjazmy powinny mieć jakieś granice oraz jakąś cenę. Tymczasem tak nie jest. I wywlekam to nie tylko z tego powodu, że temu co tam napisano przyglądam się jako bibliotekarz.

To prawda, że język w internecie jest potoczny, zatem poręczny i wygodny. Słowotwórczo oraz leksykalnie operuje czytelnymi skrótami. Czy zawsze wystarczająco często i klarownie? Autorka uważa, że jak doda się do tego mimikę i gesty (a to jest możliwe), to będzie czytanie wzbogacone. Jednak nie dam się przekonać, że to dopiero internet zrobił z nas czytelników. Sugerować można byle co, ale zawsze potrzebny jest dowód. Tutaj go nie widać.

Tym bardziej, iż z badań internetowych wynika, że już każda generacja bierze udział w tworzeniu lokalnego żargonu sieciowego. Ludzie są bardziej otwarci na nowe słownictwo w ciągu pierwszych 30 lat życia, jakkolwiek nie wszystkie implementacje i zmiany następują równocześnie. Także w praktyce potocznej. Kobiety uczą się mówić raczej od równolatek, mężczyźni – od matek. Nie wiadomo, dlaczego tak jest.

W bibliotekach to wszystko się miesza. Tak jak i blogi: męskie są raczej tematyczne, a kobiece raczej pamiętnikarskie. No i jest tam – albo nie jest – niejaka stabilność językowa. Islandczycy od dziesięcioleci potrafią czytać w bibliotekach te same teksty. Natomiast Anglicy nie, ponieważ język angielski zmieniał się intensywniej. Internet wprowadza relacje znaczące lub słabe. Nawet takie, że raz pisze się *Internet* a innym razem *internet*, nie ma więc mowy o trwałości. Rolę gra potoczność. Wiele angielskich słów weszło do internetowej praktyki, bo tak mówi młodzież. Z kolei jest też wariant oficjalny i tak w sieci, nie mówi nikt. W komunikowaniu rolę gra środowisko, geografia oraz sieć. A inne czynniki? Podobno wraz z wiekiem i poziomem wykształcenia rośnie długość używanych słów.

Dla celów komunikacji elektronicznej utarło się określenie *cyberprze-strzeń*, ale to nie jest pojęcie fizyczne, tylko forma współdziałania. Dostęp do internetu ma teraz połowa populacji świata, a niedawna trzecia fala internetowa zredukowała wszystkie ograniczenia dostępu. Po 2013 r. in-

ternetu używała 1/3 seniorów, a dzieci właściwie wszystkie, tyle że często po kryjomu, bo obawiały się inwigilacji dorosłych. Dopowiedzmy: w tym zakresie jest pewien margines swobody dla bibliotek.

Poprawa funkcjonalności internetu polegała na zwiększaniu ekspresji i używaniu dużych liter oraz powtarzaniu liter, a także na zastosowaniu emotikonów; tak skumulowane zostały sygnały emocjonalne. To nieprawdopodobna siła ekspresji. Równolegle nastąpiła inwazja ironii oraz zwiększenie grzeczności pozorowanej. Tak powstał świat wielokomunikacyjny.

Jednak największe pęknięcia w komunikacji wprowadził telefon. Ze swoimi skrótowcami *halo* oraz *hej*. Telefon wymaga wspólnej przestrzeni i to nazwano trzecim miejscem: dom + praca + telefon – z późniejszym rozszerzeniem na wideofon. I tak narodziła się praktyka przejmowania do kieszeni znajomych, a także kawiarni oraz bibliotek.

W swoim czasie sieć utworzyła największy blok nowych użytkowników, niemożliwy do opanowania. Zresztą być może internet to jest taka językowa metafora, która sukcesywnie ulega przebudowie znaczeniowej. Jak dalece? Kiedyś myśleliśmy o języku w kontekście książek, potem – nieuporządkowanym składowisku słów do usystematyzowania, a teraz o sieci – jak o lesie z naturalnymi składnikami słownikowymi oraz regułami. Stale coś nowego.

Ale to ostatnie objaśnienie ma sens dodatkowy. Mianowicie język jako niezamknięta sieć zawsze jest konstruktem niekompletnym. Może odtwarzać znaczenia dawne oraz tworzyć nowe i żadnych przeszkód po temu nie ma. To trochę wyjaśnia, gdzie jesteśmy oraz co się dzieje.

Na świecie jest około 7000 języków, lecz tylko nieliczne znajdują i mają miejsce w internecie. Taka jest brutalna prawda. Dominuje język angielsko-amerykański. Poza tym są inne języki okołointernetowe, powiedzmy że główne, od których nie da się uciec, ale nieliczne. Oraz te (kilka) z innymi alfabetami. Japoński, rosyjski, chiński, arabski. Wygląda, że internet to częściowo miejsce na nową kreatywność.



INTERNET: UMIARKOWANIE [****]

Rethinking Media Research for Changing Societies. Ed. Matthew Powers, Adrienne Russell. Cambridge: Cambridge University Press, 2020, 218 s. ISBN 978-1-108-814188.

A oto zbiorowy tom na ten sam temat, jakkolwiek bardziej umiarkowany, autorstwa profesorów z uniwersytetów głównie amerykańskich, jest wśród nich Chińczyk, Niemiec, Anglik oraz Meksykanka. Tonacja

jest radykalnie wyważona i opiniom kreatywnym towarzyszą odpowiednio tonujące wątpliwości.

Główny niepokój autorów dotyczy zalewu treści, których w sieci jest więcej niż mnóstwo. Pojawia się zatem pytanie, kto, dlaczego i po co je tworzy, oraz co z tym można zrobić, skoro stoją za nimi potężne kompanie, funkcjonujące na dystans. Nic czy prawie nic? Przychodzi nam żyć wśród danych. Snowden ujawnił: miliony danych do manipulowania. Biblioteki też w tym tkwią. Bo to jest kolonializm danych, dla których już nie ma entuzjazmu. Czy to jest obecna forma normalności?

Media prywatne mają wgląd w dane użytkowników, z fragmentacją i kontrolą informacji konsumenckiej. Przejmowanie treści marketingowych następuje błyskawicznie, a ochrona jest żadna. Media nie chronią, biblioteki nie chronią, na dobrą sprawę nie chroni nikt.

W Ameryce Południowej rozwój mediów jest niski. Z przeglądu krajowych sytuacji wynika wysoki wpływ polityczny lub instrumentalny. Dziennikarze tam też są i mają służyć społeczeństwu, tymczasem to jest inny świat. W dziennikarskiej elicie jest nadreprezentacja białych oraz niedoreprezentacja kolorowych i już samo to utrudnia funkcjonowanie. Jak pożenić dostępność z jakością? „The Guardian” ma w druku 155 milionów odbiorców miesięcznie, a online 10 milionów. Niech tu nikt nie plecie o sieciowej równości.

Niemiecki koncepcjonista sygnalizuje różnice pomiędzy pomysłami teoretycznymi oraz realnością. Ale z tego nie wynika nic. To taki bełkot: jest – powinno – może. W sieci ma miejsce odbiór sensu. Owszem, ale jest pytanie: własnego (odbiorcy) czy cudzego (nadawcy)? Nie wiadomo.

Jest coraz więcej powiązań życia z technologią, ale nie wszyscy to dostrzegają i mało kogo to obchodzi. Dziennikarstwo jakby zamilkło. Może trzeba obudzić publiczność.

Spółeczeństwo jest bardziej zespolone konfliktem, aniżeli wspólnotą. Tak przynajmniej twierdzi prof. Guobin Yang, Chińczyk ale z Uniwersytetu Pennsylvania. Komunikacja w tych okolicznościach to bardziej rytuał niż transmisja treści. Dlatego na przykład tłumacze muszą mieć świetny, wyczulony słuch. Nie mogą ograniczać się do odbioru ani dostrajania: to nie jest jednokierunkowa ulica.

W tym wszystkim tkwią też uczelnie, ze swoimi zaletami oraz słabościami. Mają niedostatki oraz wymagają pokory. Ale bez uczelni myślenie byłoby świadomością daremną. One muszą wnieść stosowne wartości i razem z nowymi formami przekazu wziąć udział w dekolonizacji nauki. To nie ja tak uważam: to ci faceci w tej książce. Internet może w tym pomóc albo nie. Inaczej cofniemy się w nieróbstwo. Ta obawa jest w tej książce wyrażana często.

Internet jest multitreściowy: pluralizm własności mediów zróżnicował treści. Czy bibliotecznych też? Nie wiem. Ale to warunek demokracji,

empatii, dialogu. Rządowa kontrola i cenzura internetu z góry ogranicza prawo do swobodnej wypowiedzi. Wtedy triumfy święci dezinformacja oraz mowa nienawiści, jak też zamazuje się granica pomiędzy prawdą i kłamstwem. Uczelnie powinny wobec takiej sytuacji stać w koniecznej opozycji, oraz *produkować* wiedzę użyteczną.

A także badać, jak walczyć z inwazją prywatności oraz mową nienawiści. Oraz z brakiem społecznej ostrożności i kryzysem systemu powiadamiania. Taki rejestr niedostatków głównych udało się skompletować dwójgu specjalistów z University of Washington. I przedstawić w stosunkowo *łagodnej* wersji. Ale nie wygląda, żeby była to wersja jedyna.

Ani cała ta książka nie sprawia wrażenia spójnej i powiązanej wspólną intencją. To raczej poodrywane od siebie drobne refleksje, ewentualnie do zespolenia, ale trudno zgadnąć z jakiego powodu oraz w jakim celu. Taka trochę zagadnieniowa drobnica, niekoniecznie układająca się w kreatywną całość.



INTERNET: NEGACJA [*****]

Paul Bernal: *What Do We Know and What Should We Do About Internet Privacy?* London: SAGE Publications 2020, 79 s. ISBN 978-1-5297-0767-0

A oto pytanie dramatyczne: czy w sieci jest możliwe zachowanie prywatności. Otóż w opinii prof. Paula Bernala z angielskiego uniwersytetu w Norwich, byłoby bardzo trudno sprostać takiemu zadaniu. Zdecydowanie bliżej jest do akceptacji modelu WWW, który jednak temu nie odpowiada. Ale co innego pozostaje?

W internecie balansuje się nieustannie pomiędzy prywatnością a bezpieczeństwem i internet wciska się już wszędzie: wszystko jest online. Czyli na widoku! Owszem – niby są tajemnice: lekarska, prawnicza, korespondencji oraz inne. Ale kto ich przestrzega? Intymność komunikowania ma długą historię, ale często i chętnie przerywaną. Internet niczego nowego w tym zakresie nie wnosi.

Przykład: jest prawo do prywatności komunikacyjnej. Ani cywilne, ani komunikacyjne, lecz ogólnoludzkie. Czy ktoś wierzy, że naprawdę przestrzegane? A przecież z samego prawa nie wynika jeszcze nic.

Bernal przypomina pokawałkowany rodowód internetu, bowiem pofragmentowany był przecież ARPANET, jakkolwiek w całości ogólnie kompatybilny, gdzie prywatność i anonimowość były zagwarantowane. Rozpad nastąpił dopiero później. A teraz jest tak, że instytucje i rządy o prawie każdym wiedzą znacznie więcej, niż prawie każdy/a o sobie. To jest powszechna inwigilacja, która ingeruje w co się da i stanowi zagrożenie dla prywatności. Zespoły się tu relacje online i offline.

Internet na skalę wcześniej nieznaną donosi, czego ludzie szukają w sieci, a co omijają. Nie mamy pojęcia, że gromadzi się o nas wiedzę aż tak ogromną. Pierwotnie Google, a teraz to już także Facebook skoncentrował się na naszym życiu. Powstają olbrzymie zasoby informacji oraz społeczne mapy: Big Data. Na wizerunek sytuacji składają się trzy cechy: mnogość danych, stosowne programy oraz systemy analizujące.

Im większa jest w sieci publiczność, tym łatwiej nią sterować. Z niewiele danych można wyciągać niebywale mnogie wnioski. Nie chroni prawo ani technologia. Powinniśmy chronić się sami, ale nie wiadomo jak. Z danych w sieci korzystają władze, ale także terroryści. To Edward Snowden ujawnił, co się wyprawia. Powszechna na ten temat niewiedza okazała się szokująca. Oraz zbiór stosownych symptomów, w znacznym stopniu nierozpoznanych. No i tego się nie zmienia.

Obowiązuje reguła: jeżeli coś jest możliwe, to będzie. A w internecie wszystko jest obserwowane, zatem możliwe. Co robisz, co czytasz, co oglądasz. Kiedy coś przeglądasz, ktoś inny to widzi, więc przejmie jako dane biznesowe i w stosownej chwili wykorzysta. Indywidualnie, grupowo: różnie. Bo internet to powtórka z przekonywania podświadomego.

A także manipulacja prywatnością. Są bowiem specjalne sposoby przejmowania, gromadzenia oraz wykorzystywania danych. Chętnie dowiedziałbym się, że biblioteki stanowią w tym zakresie zespół jednostek ochronnych. Ale prof. Bernal nic na ten temat nie pisze. Zatem chyba nie.

Na każdym kroku jest inaczej. Oto telefony mobilne sygnalizują, gdzie teraz jesteś. I proszą *okradnij mnie*. Także gromadzą informacje medyczne i poprzez zespół symptomów potrafią wyssać sporo pieniędzy. Są też inne naruszenia prywatności: dane polityczne, albo identyfikacja fotografii wrzuconych do sieci. Dużo da się odczytać.

Jeżeli wiesz coś o innych, to nad nimi panujesz. Jest wyścig: ochrona prywatności – ingerencja w prywatność. W tej ingerencji celują władze. Natomiast ochrona udaje się marnie.

Mówi się, że niewiele można zrobić. Pozostaje pytanie: jak niewiele. Bo przy akceptacji sytuacji obecnej, ma miejsce usunięcie wszelkiej prywatności. Powstaje dylemat. Nie co robić, ale czego nie robić.

Potrzeba anonimowości pojawia się wszędzie, a także ochrony ludzi porządnych. No i to jest zadanie dla rządzących. Ale prof. Bernal jest sceptyczny: chyba niewykonalne. Bo wymagałoby złamania informacyjnych gigantów, a oni są temu przeciwni. To może przynajmniej udałoby się zredukować dane i lepiej je chronić. Żeby tego było mniej. Ale nikt ku temu nie zmierza.

Nastąpił ożenek biznesu oraz technologii: to teraz podwaliny egzystencji. No i przyszłość wygląda w nich źle. Na dodatek zwiększa się obszar sztucznej inteligencji, a więc właśnie także technologii. To znaczy, że prywatność jest zagrożona. Tymczasem ona musi być wartością. Kto ją

podważa, powinien mieć ku temu zasadnicze powody. Jak je skonkretyzować?

Prof. Bernal niczego nie rozstrzyga, natomiast wie więcej albo inaczej niż inni. Może warto prześledzić ten trop obserwacji. Bo takich ujęć jest niewiele. Czytam multitematyczne wypowiedzi w różnych językach i nie pamiętam opinii równie dramatycznej. I to odniesionej do internetu właśnie.

Z kolei chętnie widziałbym, że wśród instytucji ewentualnie tamujących niepokoje znalazły się biblioteki. Ale w tej książkowej opinii o nich takim nie ma mowy. Chociaż mogłoby być.



BIBLIOTEKI W ROSJI: REGRES

Jeżegodnyj dokład o sostojanji sietikobszczedostupnyh bibliotek Rossijskoj Federacii. Po itogam monitoringa 2019 goda. Red. naukowy W. =R. Firsow. Sankt Peterburg 2020, Ministerstwo Kultury Rossijskoj Federacii/Rossijskaja Nacionalnaja Biblioteka, 90 s. ISBN 978-5-8192-0579-2

Rosjanie bez entuzjazmu (bardziej niż inni) odnoszą się do swoich niedostatków, ubytków i mankamentów, ponieważ chcą koniecznie trzymać fason, a w realnej rzeczywistości to nie zawsze jest możliwe. Kiedy więc w różnych tamtejszych regionach i w ogóle w kraju doszło do redukcji sieci bibliotecznych w okresie 2016-2018, zwłaszcza na pograniczach miast oraz wsi, objaśnienia i komentarze były mocno bełkotliwe.

W styczniu 2019 r. było w Rosji podobno 41 814 bibliotek, ale na poziomie tego zestawienia pojawiły się najrozmaitsze niezgodności. W tej gromadzie (bo chyba nie sieci) powołano biblioteki modelowe, ale raz napisano że w liczbie 3310, a gdzie indziej, że 64. Widzę różnicę. No i nigdzie nie ma doniesienia, na czym ta modelowość miałaby polegać. Z milczącej podpowiedzi wynika, że w 100% spełnia ją wyłącznie otoczenie moskiewskie.

Likwidacją w l. 2012-2015 objęto około 700, a w latach 2016-2018 około 500. I wprawdzie Rosja to duży kraj, ale te wielkości są gigantyczne. Przyczyny główne to brak środków oraz wyludnianie się wsi; są już miejscowości, gdzie w ogóle nie ma już żadnych mieszkańców. Brakuje też książek, odpowiednio przygotowanych do pracy bibliotekarzy oraz autobusów na biblioteki mobilne. Sieć to głównie pozostałość sowiecka. Ale są obszary, gdzie nie ma żadnych bibliotek, ani bibliotecznej obsługi i oczywiście nikt nic nie czyta. Smutno to wygląda – zwłaszcza jak na kraj, mający w skali międzynarodowej coś do powiedzenia.

Tam to zauważono. Rząd federalny wydał rozporządzenie, żeby biblioteki podłączyć do internetu. Wykonano to w 81,6%, ale nie wiadomo, czego ten odsetek dotyczy. Wyraźnie widać, że procesy okołobiblioteczne są tam obecnie wzajemnie sprzeczne. Poza tym na bibliotekach odbijają się jeszcze skutki klęsk żywiołowych. W tej książce jest przegląd sytuacji w różnych republikach. Optymizmu nie widać nigdzie.

Prezydent Federacji zwołał obrady *okrągłego stołu* związane z funkcjonowaniem bibliotek. Z celem głównym, żeby zachować normy bibliotecznej obsługi oraz powstrzymać likwidację bibliotek. Ale obrady to obrady. Efekty tego posiedzenia nie są rozpoznane.

Jacek Wojciechowski